

„Przez dziurę w murze”

Sierpień 1942 roku. Warta to małe miasteczko, w połowie żydowskie. O takich miasteczkach mówi się sztetl.

Czasem wydaje mi się, że świat w rzeczywistości nie jest taki jak powinien. Od trzech lat wojna niszczy nasze życie, a ja nie rozumiem, z jakiego powodu tak jest i dlaczego. Przecież każdy z nas ma prawo do wolności, spokoju i bezpieczeństwa.

Jestem czterolatkiem, który lubi bawić się na podwórku, biegać za motylami i zbierać małe kamyki. Mam na imię Józef, ale dla najbliższych jestem Jutek.

To nie jest zwykły dzień. Słońce świeci, ale jego blask nie rozświetla wszystkiego. Dziś jednak nie czuję się jak zwykle. Atmosfera jest dla mnie gęsta i ponura. Jakby intuicja podpowiadała, że wydarzy się coś niedobrego. Mama nie pozwala mi być długo samemu na dworze. Ale obraz, który widzę, trzyma mnie w miejscu. Tak jakby chciał, abym został i poczekał na coś. Przez dziurę w starym, ceglany murze widzę coś, co sprawia, że moje serce bije szybciej, a w brzuchu czuję dziwne klucie. Zza muru dochodzą dziwne dźwięki, a w powietrzu unosi się smutek. Obok cmentarza żydowskiego, na którym często bawię się z moimi kolegami, widzę wysokiego mężczyznę. Zbliży się do bramy, wchodzi na teren cmentarza i zaczyna kopać w ziemi dół. Z upływem czasu dziura staje się wielka i głęboka. Mężczyzna ten wygląda jak mój tata, gdy pracuje w ogrodzie, ale jego twarz jest poważna, ramiona napięte. Jest wyraźnie zdenerwowany i zaniepokojony. Tak samo jak ja. Dlaczego kopie? Po co mu ta dziura? A może to pogrzeb? Nigdy nie byłem na żadnym pogrzebie, nie wiem, jak wygląda. Zaintrygowany czekam, co się stanie. Wówczas dostrzegam wóz, na nim stara kołdra, na której leży młoda kobieta. Jest biała jak śnieg, a obok niej leży małe dziecko, które wygląda jak mój młodszy brat, ale nie płacze. Kobieta wydaje dźwięki, które nie brzmią jak śmiech ani jak płacz. Wydaje mi się, że mówi coś do siebie. Nie rozumiem tych słów. Może to jakiś nowy język, którego nie znam? Czasem ciężko pojękuje. Stoję tam wpatrzony w tę scenę, czując, że coś jest „bardzo nie tak”. Zauważam drugiego mężczyznę stojącego obok wozu. To chyba żandarm z miejskiego posterunku. W dłoniach trzyma coś, co wygląda

jak długi kij. Serce mi bije, a w żołądku czuję pustkę, jakbym nic nie jadł przez kilka dni. Jest mi niedobrze! Próbuję przywołać moją mamę, ale gardło mi się zaciska. Chcę, żeby była blisko, żeby wszystko było normalne. Ale nie jest, a ja nie potrafię odejść. Nagle rozlega się huk. Strzał! Krzyczę jakby wewnątrz siebie. Dlatego nikt mnie nie słyszy? Może to jest tylko zły sen i to się nie dzieje? Może zaraz, podczas tego nocnego koszmaru, przytuli mnie moja mama? Nic z tych rzeczy. Głowa kobiety leżącej na wozie opada na bok, a dziecko nie rusza się. W moim małym sercu zaczyna rodzić się coś, czego nie rozumiem. Przez dziurę w murze widzę, jak wysoki pan z jakąś kobietą (skąd ona tutaj?) przenoszą tych dwoje z wozu. Są jak postacie z baśni, ale to nie jest bajka jaką opowiada mi i mojemu rodzeństwu mama na dobranoc. To nie jest baśń o *Królewnie Śnieżce* ani *Śpiącej królownie*, która będzie czekała położona w wozie na swojego księcia. To coś strasznego, co dzieje się na moich oczach. Coś przeokropnego, coś czego nie umiem wytłumaczyć. Wiem, że powinienem uciekać, ale nie mogę oderwać wzroku. Coś w środku mówi, że to ważne, że muszę to zobaczyć. Chociaż nie rozumiem, co tak naprawdę się dzieje. Patrzę, jak kładą ich do dołu. Ziemia jest ciemna, a niebo szare. Czuję, że coś we mnie się łamie, ale nie potrafię tego nazwać jakimkolwiek uczuciem. Gdy wszystko się kończy, żandarm wsiada na rower i odjeżdża, a ja zostaję sam z tym, co widziałem. Nie wiem, co to znaczy. Nie wiem, dlaczego się to stało. Cały czas myślę o tym dziecku, które nie płakało, chociaż powinno. Mój rozum tego nie pojmuje. Moje serce nie chce tego zrozumieć. Wracam do domu, ale nie potrafię bawić się jak zwykle. Patrzę na swoich kolegów, ale ich śmiech wydaje mi się daleki, jakby pochodził z innego świata. Myślę o młodej kobiecie i jej dziecku.

Na drugi dzień przy śniadaniu słyszę, jak tatuś opowiada mamie o uciekinierce z warszawskiego getta. Uciekała ze swym noworodkiem. Chciała uniknąć wywózki do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem. Została pochowana wczoraj. Nazywała się Chana Roza Fridman.

- Dziecko jeszcze nawet nie miało nadanego imienia – ze smutkiem powiedział tatuś.
- Nieszczęśliwy los spotkał tę młodą Żydówkę, miała tylko 27 lat. To żona Michała Fridmana, prawda? – zapytała ze łzami w oczach mama.
- Tak, pochodziła z rodziny Złoczewskich. Była córką Jakoba i Gołdy. Z tego co pamiętam, Złoczewscy mieli siedmioro dzieci. Chana była gospodynią domową – dopowiadał tata.

Rodzice długo rozmawiali. Czy to ta pani, którą widziałem wczoraj? Czy mówili o tym małościu? Do tej pory nie wiedziałem, jak wygląda śmierć. Teraz już wiem!

*

Czasami, gdy zamykam oczy, widzę ich twarze. Kiedy kładę się spać, w mojej głowie pojawiają się czarno-białe obrazy, jak stare zdjęcia. Myślę o tych, którzy odeszli. O ludziach, którzy byli szczęśliwi, a teraz ich nie ma. Może to nie jest tylko historia, którą widziałem przez dziurę w murze. Może to jest część mnie, część mojego dzieciństwa, które na zawsze będzie miało swoje tajemnice. Nie rozumiem, dlaczego w świecie jest tyle smutku. Dlaczego niektórzy ludzie muszą znikać. Ale wiem, że muszę pamiętać. Muszę trzymać tę historię w moim sercu! Nie opowiedziałem jej nawet mojej mamie ani tacie... tym bardziej moim kolegom. Nie wiem, czy oni by to zrozumieli, czy czuliby tak jak ja.

A teraz kiedy zasypiam (choć nie jestem już małym chłopcem), czuję, że moje serce ma swoją własną historię.